

Życie dla drugiego jest normalnością – mówi siostra Michaela Rak, laureatka nagrody im. Jana Rodowicza „Anody”

Gdy przyjechała do Wilna, w języku litewskim nie było nawet słowa hospicjum. Było jedynie miejsce: powięzienna rudera, która kryła wielką tajemnicę. Przedstawiamy niezwykłą historię siostry Michaeli Rak – prekursorki opieki paliatywnej na Litwie, osoby, która przez wielu uznawana jest za ikonę chrześcijańskiej dobroczynności.

Pochodzi z wielodzietnej rodziny. Z wykształcenia: teolog i prawnik. Kochała sport i aktywne życie. Do Zgromadzenia Sióstr Jezusa Miłosiernego wstąpiła w 1984 roku. Osiem lat później złożyła śluby wieczyste. Przyjęła imię Michaela. W latach 1996–2008 mieszkała w Gorzowie Wielkopolskim, gdzie była jedną z założycielek Hospicjum im. św. Kamila, którym potem kierowała. Od początku zaangażowana w rozwój środowiska hospicyjnego. Organizowała liczne akcje charytatywne, jak np. „Pola Nadziei”, koncerty i zbiórki. Pomagała w zakładaniu hospicjów w Mińsku, Kaliningradzie oraz hospicjum domowego w okolicach Berlina.

Misja niemożliwa: Litwa

Po wielu latach posługi w Gorzowie, siostra otrzymuje od przełożonych zadanie, by wyjechać na Litwę. W pierwszym odruchu odpowiedziała: „Nie ma mowy”. I w tym postanowieniu trwała przez trzy lata. Zdanie zmieniła podczas Mszy św. 28 września 2008 r., w trakcie której księżda

Sopoćkę ogłoszono błogosławionym. Decyzja nie była jednak łatwa. – Kiedy wyjeżdżałam z Gorzowa Wielkopolskiego, towarzyszyła mi bezradność – opowiada s. Michaela. – Wiedziałam jak ludziom pomóc, ale wiedziałam też, że jadę do Wilna, gdzie hospicjów w ogóle nie ma i są braki w obszarze całego sektora medycznego. Trzeba było wyremontować budynek na hospicjum, wyposażać go, zatrudnić personel. To było coś, co od strony ekonomicznej i biznesowej było wielkim wariactwem. W dniu wyjazdu z Gorzowa poszłam więc na cmentarz. Chodziłam wśród nagrobków, czytałam imiona i nazwiska osób, które pamiętałam, i prosiłam: „Pomóżcie mi, pojedę, wiem, że muszę to zrobić – nie wiem jak – ale pojedę. Pomóżcie, jesteście ambasadorami po tamtej stronie, pomóżcie, ufam”. Po wyjściu z cmentarza zobaczyłam kobietę, która mi machała. Kiedy do niej podeszłam, powiedziała: „Chcę ci coś dać. Na hospicjum”. Ocierając łzy, żeby nie widziała, że wychodzę z cmentarza zapłakana, odpowiedziałam: „Kochana, dzisiaj wyjeżdżam, mnie z hospicjum nic nie łączy”. Stwierdziła: „Wiem. Na hospicjum w Wilnie chcę dać”. I z puszek po konserwie wysypała mi na dłoń jakieś 3 złote. To była prosta, zwyczajna kobieta, która rano na łące nazbierała kwiatów, zrobiła bukiety i je sprzedała. Powiedziała: „Weź”.

Betlejem i Nazaret

Gdy w 2008 r. siostra Michaela dotarła na Litwę, na miejscu zastała zrujnowane powięzienne budynki, które Kościół odzyskał od litewskiego państwa. W jednym z nich przed wojną mieszkał bł. ks. Michał Sopoćko, spowiednik św. Faustyny Kowalskiej i założyciel Zgromadzenia Sióstr Jezusa Miłosiernego a także malarz Eugeniusz Kazimirowski. Pod dachem tej plebanii powstał pierwszy obraz Jezusa Miłosiernego, autorstwa wspomnianego malarza. „Ta wileńska izdebka to Betlejem i Nazaret kultu Bożego Miłosierdzia” – zwykła mawiać s. Michaela. Dziś w pracowni malarza jest kaplica z tabernakulum. Po

przyjeździe do Wilna siostra położyła 3 złote od kwiaciarki właśnie przy nim: „Położyłam tam te pieniądze i powiedziałam: Jezu, mamy trzy złote i zrobimy to hospicjum” – wspomina s. Michaela. Niemal z dnia na dzień zaczęli pojawiać się darczyńcy i ludzie dobrej woli. Inauguracja działalności Hospicjum im. bł. ks. Michała Sopoćki nastąpiła 11 lutego 2009 r – w rocznicę objawień Matki Bożej w Lourdes. Jeszcze w trakcie remontu rozpoczęło działalność hospicjum domowe, a w 2013 stacjonarne. Fundusze na działalność hospicjum pochodziły od Polaków rozsianych po całym świecie, ale także ze środków Wileńskiej Kasy Chorych oraz samorządu Wilna. Koszt remontu i wyposażenia pochłonął grubo ponad 4 mln zł.

Żelazna zasada miłości

Dziś hospicjum pomaga ok. 250 osobom rocznie. Każdy chory przyjmowany jest za darmo, bez względu na narodowość, wyznanie czy status społeczny. Dlaczego? „Hospicjum ma być domem, bezpiecznym, kochającym, gdzie człowiek otrzyma przede wszystkim miłość, a za nią się nie płaci, bo miłość zawsze jest bezinteresowna” – podkreśla s. Michaela. Pod jednym dachem w hospicjum żyją Polacy, Litwini, Rosjanie, Białorusini, Żydzi, katolicy, prawosławni, protestanci, muzułmanie. Zatrudnia ponad 45 specjalistów (lekarze, pielęgniarki, obsługa), gromadząc ponad 100 wolontariuszy. Hospicjum domowe obejmuje opieką chorych w promieniu 100 km od Wilna. Koszt utrzymania posługi stacjonarnej i domowej wynosi ok. 130 tys. zł miesięcznie. Siostra Michaela zdobywa te środki jeżdżąc po całym świecie, prosząc o pomoc, pisząc listy. Utrzymanie hospicjum dla dorosłych to jednak nie jedyne zmartwienie siostry. – Kilka lata temu do hospicjum przyszła mama, która za rękę trzymała słabiutkiego chłopczyka. Miał 5 lat. Był po chemioterapii. Patrząc mi w oczy, powiedział: „Mam raka. Pomożesz mi?” i zaczął płakać. Wzięłam go na kolana, przytuliłam i też płakałam. Obiecałam: „Pomogę ci”, choć nie

wiedziałam jak to zrobimy – mówi siostra Michaela. Tak zrodziła się idea budowy hospicjum dla dzieci. „Potem okazało się, że koszt budowy i wyposażenia obiektu wyniesie 1,3 mln euro, ale dałam słowo dziecku i Bóg się do tego przyznał”. W 2018 r. zalano fundamenty pod dziecięce hospicjum w Wilnie, a przyjęcie pierwszych małych domowników zaplanowane jest na koniec 2019 roku.

Za swoją działalność siostra Michaela otrzymała szereg wyróżnień. W ostatni dzień marca uhonorowana została nagrodą im. Jana Rodowicza „Anody”, która przyznawana jest „Powstańcom czasu pokoju” – osobom, które bezinteresownie są zaangażowane w działalność na rzecz drugiego człowieka. Korzystając z okazji, poprosiliśmy siostrę o rozmowę.

Grzegorz Kiciński: Wielokrotnie siostra podkreśla, że dzieła, które dokonują się za jej pośrednictwem nie byłyby możliwe bez zaufania Bogu. Czy jednak, żeby ufać Panu Bogu wystarczy powtarzać słowa: *Jezu ufam Tobie?*

Siostra Michaela Rak: Nie, bo to są tylko słowa. Słowo, które wypowiadamy, jeśli ma mieć jakiś sens, musi być odzwierciedleniem tego, co mamy w sercu. Co wyraża nas. Jeżeli mówię „ufam” to po prostu wszystko składam w ręce Pana Boga, nie według mojego planu, nie według moich zamiarów, nie według moich sił. W tym ufam wyrażam moją rezygnację z mojego „ja” i takie całkowite zakotwiczenie w Twoim „Ty” Boże. To wtedy jest prawdziwe ufam. Ja często

powtarzam te słowa, ale czy zawsze ufam? Nie. Ale Bóg jest tak dobry, że rozumie moją słabość i posyła do mnie aniołów, którzy mnie znowu przywołują do ufności.

Mam takich przyjaciół, których córka, gdy była mała została porażona prądem. Uratowali ją, ale jej rozwój intelektualny się zatrzymał. Gdy miała kilkanaście lat odwiedziłam ich, żeby się wyzalić, wypłakać, bo wszystko w Wilnie było pod górkę. Budowa pierwszego hospicjum jakoś się posuwała, ale długi rosły i nie było perspektywy, żeby je spłacić. Przywiozłam do tych przyjaciół kartkę, na której miałam napisaną rezygnację. Chciałam ją złożyć na ręce moich przełożonych. „Może potrzeba kogoś innego, kto sobie z tym hospicjum poradzi. Ja już nie mam siły” – żaliłam się. W pewnym momencie ta ich córeczka przytuliła się do mnie i zadała mi zaskakujące pytanie: „Czy ty ciocia w swoim zakonie to modlisz się *Jezu ufam Tobie?*”. To pytanie mnie zirytowało, ale poczułam dreszcz. „Tak, jestem w tym zakonie” – odpowiedziałam dość chłodno. „A ty też powtarzasz te słowa?” – ciągnęła dalej i przytuliła się jeszcze mocniej. Czułam się coraz bardziej pod ścianą, ale odpowiedziałam: „Tak, powtarzam te słowa często”. I ona nagle z całą powagą, jakby spoza tego świata powiedziała: „To uwierz w to”. Podarłam to podanie i wróciłam do Wilna.

Czy okazywanie miłosierdzia, zwłaszcza we współczesnym, bardzo egocentrycznym świecie, to według siostry heroizm?

Ja bym powiedziała, że czyn miłosierdzia to jest nasz normalny czyn, bo do tego zostaliśmy stworzeni. Do kochania. Ale gdzieś w gonitwie tego świata po prostu się zagubiliśmy. Lepsze stanowisko pracy, lepsza pensja, więcej znaczących znajomych i w takiej gonitwie jesteśmy

ciągle. Często zapominamy o tym, aby się spotkać, uśmiechnąć, powygłupiać, zauważyć, że dzisiaj świeci słońce. My właśnie nie umiemy żyć, tylko umiemy „produkować” nasze życie, a to jest straszne. Kiedy z tej produkcji, z tego szukania zysku w każdej przestrzeni ktoś nas nagle wyrwie, wówczas zaczynamy normalnie żyć i czyn miłosierdzia nie jest niczym nadzwyczajnym. Pewnego dnia położyłam w naszej kaplicy przy tabernakulum monetę jednocentową. Dostałam ją od człowieka bezdomnego na ulicy. On mnie tu znał w Wilnie. I mówił: „Siostra zaczekaj, bo ja chcę Ci coś dać na hospicjum dla dzieci”. I tak po prostu z kieszeni z różnymi rzeczami pobrudzonymi wyciągnął tego jednego centa. Dla mnie to był symbol życia. Ten człowiek nie miał nic oprócz tego centa i go oddał. To było jego życie i normalność. Ja chciałabym, abyśmy byli właśnie tacy – normalni.

Co siostra ma na myśli mówiąc „normalni”?

Pewnego dnia zapukał do naszego hospicjum trochę nietrzeźwy bezdomny. Od progu przywitał mnie jego zapach, ale on nie przyszedł ani udawać kogoś innego, ani nawet prosić o jedzenie. „Siostra, szukałem żarcia w śmietniku, a znalazłem to” – powiedział i wyjął spod kurtki gipsową płaskorzeźbę Jezusa. „Chrystus nie może być na śmietniku – ciągnął dalej. – Słyszałem, że wy tu przywracacie ludziom twarz. Pomyślałem, że przyniosę tu Chrystusa, żeby i on odzyskał twarz”. Byłam tak wzruszona, że go od razu przytuliłam. Potem zaprowadziłam go na werandę, dałam mu farbę i pędzel i powiedziałam: „Masz, ty przywrócisz Chrystusowi twarz, a ja ci zaraz znajdę jakieś żarcie”. Zrobił to. Ta płaskorzeźba wisi dziś w jadalni naszego hospicjum a on... No właśnie. Potraktowaliśmy go normalnie. Nakarmiliśmy jak przyjaciela, umyliśmy, daliśmy ubranie i daliśmy mu

odejść do życia, jakiego chciał. Wiele razy widziałam go w różnym stanie. Raz był trzeźwy, raz nie, ale potem poddał się leczeniu i dzień po dniu wracał do życia. Dla mnie życie dla drugiego jest normalnością. To się nigdy nie nudzi i zawsze pociąga do dobra.

Świetnie to obrazują słowa jednego z waszych wolontariuszy, który... wyszedł na przepustkę z pobliskiego więzienia. Jego zdaniem, „dla miłosierdzia nie ma żadnego muru. Daje wolność niezależnie od okoliczności”.

To niezwykle, co Jezus robi. Proszę sobie wyobrazić, że pewnego dnia skazani na dożywocie zdecydowali, że własnoręcznie zrobią dywaniki, które miały trafić pod łóżka chorych w hospicjum, żeby chory, gdy usiądzie, nie stawiał stóp na zimnej podłodze. Pracownik więzienia opowiedział mi, że jeden ze skazanych więźniów robiąc dywanik powiedział mu coś, co nim wstrząsnęło. Co jest fundamentalne. Pracownik zapytał się go: „Czemu ty klęczysz już tyle godzin? Usiądź i na siedząco je rób”. A on mówi mu: „Nie, ja będę robił je klęcząc”. Więc pracownik więzienia motywuje go: „Usiądź jednak, bo będzie cię bolał kręgosłup, nie dasz rady”. On podniósł wzrok i mówi: „Na tym dywanie będą stały nogi chorego, tak?”. Ten pracownik na to: „Tak, będą stały”. No i ten więzień mówi: „No właśnie, nogi chorego. Pan Jezus powiedział, że cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, mnieście uczynili. Czyli w tym chorym to jest Jezus, tak? I na moim dywaniku będą stały nogi Jezusa?”. Ten pracownik więzienia nie wiedział jak odpowiedzieć. Rzekł tylko: „No tak!”. Ten więzień ciągnął za to dalej: „No widzisz, ja nie klęczę przed dywanikiem, ja klęczę przed Jezusem, którego nogi będą stały na moim dywaniku”. I ten więzień, o którym można było powiedzieć, że nie ma nic, bo on nawet nie ma nadziei na wyjście na wolność, naucza pracownika więzienia

ewangelicznego życia i bycia. I jestem przekonana, że to też jest nasz wolontariusz, mimo że moi chorzy go nie widzieli i prawdopodobnie nigdy na tym świecie się nie spotkają. Ufam, że spotkają się jednak w niebie.

Możliwe są za to spotkania chorych przebywających w hospicjum z ich rodzinami. Tyle, że te spotkania z pewnością bywają trudne. Czasem rodziny są wręcz skłócone. Co wtedy siostra robi?

Pamiętam mężczyznę, który nie mógł odejść z tego świata. Agonia się przedłużała przez kilka dni. Przypomniałam sobie naszą wcześniejszą rozmowę, w której on powiedział, że od kilku ostatnich lat nie ma kontaktu z jednym z synów. Ten syn go po prostu przeklął, powiedział, że nie chce takiego ojca. Cała rodzina się przy tym chorym gromadziła a tego jednego syna nie było. Odszukałam tego syna. Było to trudne, bo był właśnie w czynnej służbie wojskowej, był na poligonie. Skontaktowałam się z jego władzami wojskowymi i powiedziałam, że sytuacja jest nadzwyczajna, i że bardzo proszę o wydanie kilkugodzinnej przepustki, aby ten syn mógł przyjechać do ojca. Ale ten syn nie chciał. Kazał mi zejść z oczu. Ja go po prostu przytuliłam w tym mundurze i powiedziałam, że nie zejdem. „Pan musi ze mną pojechać, niech pan to potraktuje jak zagrożenie swojej ojczyzny. Ten przyjazd będzie uniknięciem tragedii wojennej. Ocali pan innych. Czy chce pan wojny czy pokoju?”. On mówi: „Dobrze, jadę z panią”. Nawet dostaliśmy samochód wojskowy. Przyjechał, wszedł do pokoju, pochylił się nad ojcem, spojrzeli sobie w oczy i w tym spojrzeniu był ostatni oddech jego ojca na tej ziemi. To była kwestia kilku sekund i ojciec odetchnął na wieczność, a wojskowy się rozpłakał. Potem nie ja go już przytulałam, ale on się wtulił i powiedział: „Siostro, dziękuję!”. Nie

trzeba było słów, nauki, trzeba było czyjegoś bólu i cierpienia. Myślę, że jego tata umierając też dokonywał jakiejś wewnętrznej decyzji i ofiarował to, co niósł w swoim życiu.

Nigdy nie jest tak, że jesteśmy idealni, zawsze będą te minusy po mojej stronie i po stronie drugiego człowieka, ale musimy właśnie być ludźmi, by ten minus przewartościować w plus. I ten wojskowy przewieziony z poligonu to potrafił zrobić. I ten ojciec, który ciągle czekał, także potrafił to zrobić. Ja mam pewność, że to jest to, co my ludzie wierzący niesiemy w sobie, co nazywamy łaską Bożą. Jego tata przez cały czas przygotowywania się do tego najważniejszego momentu w życiu przyjmował Jezusa w Najświętszym Sakramencie, przyjął wszystkie sakramenty. I to była ta jego moc.

Trudno się dziwić, że hospicjum nazywane jest czasem mostem do nieba, które łączy a nie rozdziela.

To prawda. Jeżeli myślimy, że niebo jest daleko, że czeka nas dopiero kiedyś, to żyjemy w jakiejś bajce. My to niebo możemy odkrywać tu, w naszej codzienności. Ono później będzie pełnią, ale doświadczać go możemy już teraz. Pytanie jednak jak żyjemy. Jeśli w dzisiejszym trudzie, w cierpieniu i w każdej innej chwili żyjemy tylko z myślą o sobie, to to życie jest bezsensowne. Takie bezsensowne! Im mniej życia tylko dla siebie, tym więcej nieba. Ale siły do tego trzeba szukać w mocy Bożej i prosić Ducha Świętego, żeby tę bliskość i szczęście nieba w nas urealnił, żeby to było konkretne doświadczenie a nie tylko ulotne wyobrażenie czy jakaś filozofia, która może i brzmi pięknie, ale nie daje życia.

Rozmawiał Grzegorz Kiciński

Postępy budowy hospicjum dla dzieci na Litwie można śledzić na stronie www.mostdonieba.pl. Tam też można wspomóc materialnie to dzieło.